

Kronika tygodniowa.

(Trafnosć zdania s. p. Lama. — Zbiegowisko przed sądem. — Zdziwienie, gdy przybył w południe do domu. — Gwałtu, co się dzieje? — Obiadu nie będzie! — Żalostne refleksje z tego powodu. — Gdzie winowajca? — Dlaczego proces Borowskiej tak zainteresował cały Kraków? — Kłopoty dziennikarza z okazyi tegoż i grzeczność pana ministra. — Jak należało dziennikarzom rozdawać bilety?)

Wprawdzie nawołują nas różni prorocy, byśmy porzucili dotychczasowe drogi, które trącą pleśnią starożytności, a zwrócili się na drogę postępu, przekonujemy się jednak, iż u nas dzieje się wszystko po dawnemu. Już s. p. Lam, jeden z najlepszych humorystów polskich i kronikarzy, porównując Galicyę ze wzburzonym morzem, znalazł między niemi wiele wspólności, już choćby tylko w tym względzie, iż i tu i tam widzimy ogromną ilość różnej wielkości bałwanów. Ta tylko między niemi różnica, że gdy morskie wprawiają w ruch wiatr rozszalały, ziemskie poruszają się o własnej sile i według swej woli, dlatego też i odpowiedzialne są za swe postępy.

To zdanie s. p. Lama przyszło mi na myśl w poniedziałek, dnia 10. stycznia b. r., gdy przed bramą sądu karnego u świętego Michała zobaczyłem o godzinie 9 rano gromadę kobiet wszelkiego wieku, stanu, tuszy, wyznania i zapatrywań politycznych, dobijających się do drzwi budynku, od których w normalnych warunkach każdy stroni. W południe powtórzyła się ta sama scena, z tą jednak różnicą, iż miejsce płci pięknej, która około południa usunęła się w zacisze ogniska domowego, zajęła pleć brzydka i to w takiej ilości, iż dwu komisarzy policyi i coś około czterdziestu żołnierzy z trudem tylko zdołali utrzymać jaki taki porządek. Zachodziłem w głowę, co by mogło być przyczyną tych zbiegowisk, czy jakie cudowne objawienie, czy inna jaka, doniosła dla kraju lub narodu okoliczność, dowiedziałem się jednak, iż są to tylko amatorzy i amatorki, którzy chcieliby podrażnić swe nerwy w czasie procesu Borowskiej, rozpisanego na dni 12, a zaczynającego się w dniu 12. stycznia.

— Hm! nieboszczyk Lam miał przecież rację! — pomyślałem sobie, idąc ku domowi.

Biła właśnie godzina pierwsza, gdy zgłodziłem przekroczył próg mego mieszkania i organ wężu zwrócił w stronę kuchni, skąd zazwyczaj o tym czasie dochodziły mnie nader miłe zapachy, tak przyjemnie łechcące nerwy powonienia i smaku i usposabiające do przedobiedlnych rozmyślań, co też podadzą mi dziś, po południu, czy zrazy. Niestety jednak dziś ma się rzecz inaczej. Grobowa cisza zalega całe mieszkanie, z kuchni nie doleatują przyjemne bręki rondli i talerzy, ani też owe zapachy, które tak łechcały nasze podniebienia.

Wiedziałem jakimś złem przecuciem, otwieram drzwi kuchenne... Ognisko wygasło, na podłodze porozrzucone części damskiej garderoby, rzekłbyś, horda tatarska przeszła tędy niedawno. Wtem około moje padło na łóżko, na którym spostrzegłem służącą, obwiązaną bandażami i jęczącą z cicha. W powietrzu czuć było woń arniki.

— Kasiu — zawołałem w rozpacz — co się stało? Czyżby bandyci?... Gdzie pani?...!

Po chwili dopiero otworzyła biedna dziewczyna oczy, powiodła błędnym wzrokiem dokoła i jęcząc wystękała raczej, niż wypowiadała:

— Pani leży chora w pokoju!...

Złapałem się za głowę, przez którą przeszła lotem błyskawicy myśl, czy to przypadkiem nie cholera lub dżuma. Chciałem biec do telefonu, by wezwać pogotowie ratunkowe, postanowiłem jednak przedtem dowiedzieć się o przyczynie tej epidemii.

— Co wam się stało?! — wrzasnąłem z rozpaczą.

— Ach, proszę pana! — odparła zagadnięta z prawdziwym bólem w głosie. — My chodziliśmy z panią po bilety na proces Borowskiej. Tam nas tak pobiły i pognotły inne panie i służki, które tam się już wcześniej zebrały, że dopiero buda przywiozła nas do domu...

— A cóż z obladem? — badałem dalej, gdyż ta kwestya obchodziła mnie najżywotniej.

— Nie wiem, proszę pana, ale pani w ścisiku skradziono pugilares i podarto zakiet!...

Masz babo redutę! pomyślałem sobie... Obiadu wprawdzie jeść nie będziesz, ale przecież może raz żona przekona się, że Lam miał słuszość, że nie trzeba się pchać, gdzie cię nie proszą, że zbyt ciekawość ma nieraz i paskudne następstwa. Przybrawszy poważną minę, choć właściwie na śmiech

mi się zbierało, wszedłem na palcach do naszej małżeńskiej sypialni. Z łóża, z pomiędzy stosu poduszek i pierzyn, widniało okragłe oblicze mej czcigodnej towarzyski życia z kilku sińcami, z piersi jej odzywało się żalostne jęczenie, z którego mogłem poznać łatwo nadmiar boleści, rozsadzającej jej tkliwe łono.

— A widzisz? A nie mówiłem? — rzekłem z uczuciem. — Po cóż było tam łązić?

Głuche westchnienie było na to odpowiedzią.

Nie rzekłszy słowa zabrałem kapelusz i powoli wyruszyłem na miasto, aby posilić gdzieś swe grzeszne ciało i dowiedzieć się, czy też wielu w Krakowie mam towarzyszy niedoli. Dzięki Bogu było ich więcej niż dwa tuziny, których żony poturbowano w ścisiku i którzy również nie dostali w domu obiadu. Wszczęto dyskusję przy lampce zielniaka...

I niech mi kto powie, co tak wpłynęło na Krakowian, że nie obawiali się narazić zdrowia i życia, by zdobyć bilet wstępu na rozprawę, w czasie której miano poruszać różne drażliwe momenty ze stosunku wzajemnego dwojga osób. Rzecz prosta w pierwszym rzędzie gra tu rolę zwykła ludzka ciekawość i gonienie za skandalami, w drugim zaś tegoczesne przeczerzenie nerwów pokolenia, które potrzebuje zawsze jakichś nadzwyczajnych wrażeń i podnieć. Części młodego pokolenia nie dziwię się wcale, gdyż ono żyje nowym życiem, o którym my pojęcia nie mamy, ale już w żaden sposób nie mogę sobie wytłumaczyć, co w sali rozpraw sądowych mają robić poważne matrony, żony i matki. Czy i one potrzebują nadzwyczajnej podnieci dla swych starganych nerwów, które powinny być zahartować się w szkole życia? Czy jest to tylko może gonienie za nadzwyczajnością i niemądre naśladowanie innych, które tak postępują?

Które z przypuszczeń jest prawdziwym, w to nie wchodzę, los mojej pocziwej, Bogu ducha winnej małżonki niech będzie odstrasającym przykładem dla reszty przedstawicieli płci pięknej, które szukając nadzwyczajnych wrażeń, znalazły tylko sińce i szturchańce... Że też tam wielu przedstawicieli Izraela pchało się gwałtownie po bilety, temu się nie dziwię, nimi powodował po większej części interes, gdyż taki bilet może się bardzo pięknie oprocentować i w ciągu trzech tygodni przynieść właścicielowi wcale pokaźny dochód, jeśli za przystępną cenę zechce go odstąpić na kilka godzin różnym ciekawym, których przecie nigdy nie brakuje.

Część winy spaść musi także na prezydium sądu, które w niewłaściwy sposób urządziło wydawanie biletów.

Wogóle sprawa Borowskiej tak poruszyła całe nasze społeczeństwo, iż od tygodnia w domu, w szkole, w restauracyi, na spacerach, w teatrze, wogóle wszędzie, nie mówi się o niczem innem, tylko, co Borowska mówi, co myśli, co je, czy pisze pamiętniki, czy ją uwolnią, czy nie? Powszechną zadrosć budzą sędziowie przysięgli, którzy bez starania się o bilety, obecni będą na rozprawie i dziennikarze, którym ja jednak nie zazdroszczę, wiedząc z doświadczenia, iż porządnie się wypocą.

Zważywszy jednak wszelkie *pro* i *contra* spytajmy się sami siebie, dlaczego ta sprawa tak nas zajęła, że wygasły nawet ogniska kuchenne, a wszelkie, nawet najżywotniejsze sprawy znalazły się na drugim planie...? Odpowiedź na to zupełnie prosta. Ludziska, którym się zdaje, że są bardzo zajęci i narzekają ciągle na brak czasu, przecie nie wiedzą, jak go spędzić i wyszukują sobie rozrywki, o ile możliwości gratisowe. Nadto każdy z nas obdarzony jest sporą dozą ciekawości i skłonności do bajczarstwa, oraz chęcią gonienia za sensacyjnymi skandalikami, w które jest wmieszana jakaś kobieta. Dodajmy do tego zdenerwowanie obecnego pokolenia, a mamy motywy, które skłoniły Krakowian i Krakowianki do oblegania murów krakowskiego kryminału.

Przy tej sposobności warto poruszyć jeszcze jedną okoliczność, która nasuwa mi się właśnie z okazji owego sensacyjnego procesu. Na całym cywilizowanym świecie panuje zwyczaj, iż tak poszczególne jednostki, jak i władze, tak rządowe, jak autonomiczne, starają się dziennikarstwu iść na rękę. Wszędzie się to dzieje, tylko niestety nie u nas. Raz już wspominaliśmy o trudnościach, jakie robił naszemu redakcyjnemu fotografowi pewien dygnitarz, który absolutnie zabronił mu fotografowania jakiegś grupy na podwórzu biblioteki Jagiellońskiej. Ubolewaliśmy wówczas srogo nad zapalczywością owego uczonego męża, dziś przychodzi zanotować nam zupełnie analogiczny wypadek. Współredaktor naszego pisma, i to najodważniejszy z pomiędzy całego grona, wybrał się w ów fatalny poniedziałek

do prezydium sądu krajowego karnego z prośbą o bilety redakcyjne na rozprawę. Pan prezydent orzekł jednak, że pismo tygodniowe *illustrowane* nie powinno mieć swego reprezentanta na sali i kategorycznie odmówił. Nie pozostawało nic innego, gdyż groziło *periculum in mora*, jak telegraficznie zwrócić się do ministra sprawiedliwości, który był zupełnie innego zdania i telegraficznie polecił wydanie biletów. Prawdopodobnie wie pan minister, jakimi względami cieszą się we Wiedniu przedstawiciele prasy, choćby nawet niepolitycznej i dlatego poszedł nam na rękę.

Szkoda, że czas spóźniony, ale dalbym panu prezydentowi bardzo dobry sposób, w jaki można by obdzielić dziennikarzy biletami wstępu, tak, aby był i wilk syty i owca cała, tj. aby nie ucierpiała na tem powaga pana prezydenta, a dziennikarze mieli pewną satysfakcję. Należało ich zaprosić na oznaczoną godzinę, kazać się ustawić w szeregi, a potem rzucić między nich kilkanaście biletów (tak, jak to było z proszącymi o karty wstępu paniami). Zmęczeni czekaniem rzuciliby się przedstawiciele prasy na siebie i poturbowali nieco, wiadomo bowiem, że jest to bardzo wojowniczy narodek. Wówczas zrzęcnosć i siła decydowałaby o ich otrzymaniu, a nie względy polityczne i obeszloby się bez interwencji ministerialnej.

Niech zaś jednak ktoś nie myśli, że owi dziennikarze wiedzą brylantowy żywot na sali rozpraw sądowych w Krakowie, nawet po jej rekonstrukcyi, której dokonano dzięki interwencji sędziego przysięgłego p. Miedniaka. Ława dziennikarska przypomina beczkę śledzi, a nadto dla przyjemności mają za plecami audytorium, które im ustawicznie przeszkadza. Ciężka więc, jak z tego widać, dola dziennikarska, a zamiast ją ostodzić, zatruwa nam ją jeszcze społeczeństwo na każdym kroku, gdyż nie możemy nigdy liczyć na jego poparcie, i to ani materialne, ani moralne. Gazetę każdy chętnie przeczyta, ale o ile możności „za darmo“, gdzieżby tam bowiem poważny obywatel wydawał pieniądze na jakąś bibułę! To się ponim nie pokaże!

W rocznicę strasznej katastrofy.

Rok minął właśnie od chwili, kiedy świat cały zelektryzowała ponura, żalobna wiadomość o straszliwej katastrofie żywiołowej, która nawiedziła południowe Włochy i wyspę Sycylię. Wszystkie cztery żywioły: woda, ogień, powietrze i ziemia, jakby się sprężyły wówczas ku zniszczeniu pięknej krainy. Niepamiętne trzęsienie ziemi w gruzy zamieniło setki wsi i kwitnących miast. Równocześnie wystąpiło z brzegów morze, zalewając swemi falami nadbrzeżne miejscowości. Wybuchły też w wielu miastach pożary, a huragan powiększył grozę straszliwego nieszczęścia.

Więc okropne były skutki tej pamiętnej katastrofy, która prócz milionowych szkód materialnych spowodowała też śmierć tysięcy ludności. Ale i cały świat cywilizowany pospieszył z pomocą dotkniętej katastrofą ludności, dając w ten sposób piękny dowód współczucia dla nieszczęśliwych.

Zwolna więc, dzięki pomocy rządu włoskiego i ofiarności ludów, poczęła się ludność owych okolic odbudowywać, choć jeszcze dziesiątek lat potrzeba, by pamięć o katastrofie wygasła i by wygląd tej części krainy włoskiej powrócił do dawnego stanu.

Obecnie pod świeżem tak jeszcze wrazeniem strasznych chwil, ludność Messyny i innych miast urządziła na gruzach i ruinach swych domów w rocznicę katastrofy uroczystości żalobne, ku pamięci zmarłych tragicznie współobywateli.

Zdjęcie nasze przedstawia właśnie procesyę, przechodzącą po gruzach na jednej z ulic w Messynie.



Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

